№ 48. Warszawa, dnia 15 (27) Listopada 1878 r. Rok XIII.—Tom XIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

ZIMA.

Smutno na świecie, głucho do koła,
Mrożąca zbliża się zima;
Pożółkły drzewa, sczerniały zioła,
Nie ma już słońca, ach! niema...,

Szaro i głucho, ludzie patrzą smutnie
Na te jesieni ostatki,
Jak niemi wicher szafuje okrutnie,
Scinając liście i kwiatki.

Wszyscy żałują i ciepła i słońca,
I leśnych chłodów i cieni,
I tych kolorów, któremi bez końca
Wśród lata ziemia promieni.

Wszyscy żałują, wszyscy dookoła,
Witają zimę niechętnie:
Ja przecież jedna nie zasępiam czoła
I nie rozżalam się smętnie.

Czemu? Ja nie wiem, ale mnie nie ziębi
Zimowa pustka, ni głusza,
Ja świat rozkoszy noszę w serca głębi,
I nim upaja się dusza.

On mi wystarcza, on się do mnie wdzięczy,
On sypie rozkosz obficie,
I mnie nie trzeba ni słońca, ni tęczy,
By słodko tonąć w zachwycie.

Ja i bez słońca czuję w piersi ciepło,
A w niem, jak trawka ku wiośnie,
Wszystko kiełkuje, co w życiu zakrzepło,
I strzela w niebo radośnie.

Ja już odczuwam tę błogość bez końca,
Tę wonność, jasność bez cieni,
To ciepło, światło ożywczego słońca,
Co świat mi w koło promieni.—

Ah! i dlatego bledną w mojem oku
Kolory i blaski ziemi:
Nie umiem znaleźć w nich tyle uroku,
Żeby aż tęsknić za niemi.

Siłą nadziei, wiary i miłości,
Przeczuwam serdeczne życie,
Nie znam nicości, tęsknię do wieczności,
I tęskniąc, tonę w zachwycie.

Stefania.

ŚWIATEŁKA W CIEMNYM KRAJU

Nowella

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

I.

Czy słyszeliście o niebezpieczeństwach i majestacie południowego Oceanu Spokojnego, odzianego w pełną burzę? Nie mówimy o zielonych, nieregularnych bałwanach Atlantyku, o błękitnych falach Śródziemnego morza, o mętach Północnego— dąsy tych wód są straszne tylko dla szczurów lądowych, im tylko dają temat do przenikających opowiadań o „burzy na morzu“. Stary żeglarz, lub wytrawny podróżnik, który oglądał bałwany tam, gdzie żaden ląd nie więzi oceanu, był tam gdzie szumią wieczne, rzetelne burze, nie lęka się Północnego morza kaprysów. Gdy fale atlantyckie skaczą i szumią, on bawi się effektem światła na ich ruchliwej powierzchni. Ale i jego twarz zblednie na morzu, co rodzi fale-tytany, z których każda zatopiłaby bujny okręt, gdyby się jej tylko udało wpaść na pokład, fale, których ciosy prą statek z niezłomną potęgą losu, wbrew woli sternika i manewrom żagli. Jest to armia fal czarnych, jak zamglone niebo onej strefy. Każda fala trzęsie białą grzywą. Maszerują z rozwagą, w nieskończonej szarży. Najstarszy żeglarz drży przed ich atakiem, jeżeli okręt jego znajduje się pomiędzy nadciągającą armią, a lądem szarzejącym na widnokręgu. Kunszt szypra może w takim razie przedłużyć opór, lecz nie odwróci katastrofy. Wielki to i smutny widok, a rezultat musi być niewątpliwym, skoro się nań składają: fale Oceanu Spokojnego, piękny okręt, pełny istot żywych, i żelazne, harde, ciemne wybrzeże Australii!

Czy zwiedzaliście kiedy górniczą kolonię w Nowym-Świecie, gdzie już skarby wyczerpano prawie? Podczas waszej żeglugi do tej części ziemi czytaliście lub opowiadano wam, cuda o kopalni, której pagórki roiły się przez przeciąg olimpiady stotysięczną armią awanturników; której doliny wydały więcej od summ bajońskich, a z pagórków wydobyto summę, równą daninie, jakiej żądają zaborcy od podbitego narodu. Zgiełku, rozpusty, marnotrawstwa i excentryczności jej mieszkańców Bret-Harte nie zdołałby opisać. Zbiera was ciekawość zajrzeć do takiego Ofiru, w którym odbywa się karnawał chciwości i swywoli. Książka

opisująca go, nosi datę ledwie o kilka lat wcześniejszą od dnia, w którym ją czytacie. Ale o dziwy! gdyście wysiedli w porcie najbliższym celu waszej pielgrzymki, tubylcy nie umieją pokazać drogi do wielkiej kopalni. Nareszcie, po długiem szukaniu, znajdujecie doświadczonego pioniera, co zwiedził kraj wzdłuż i wszerz, i zna wszystkie jego tajniki w okręgu stomilowym.

— Pan pyta o drogę do *Wiszącej skały?* — woła on z zadziwieniem. — A po co? Któż tam zagląda teraz? Szkoda czasu! Jeżeli pana *swędzą* palce i chcesz ryzykować swój czas, pracę i pieniądze na szukanie złota, jedź zemną do *Wzgórz piramidalnych*. Kto żyw, jedzie tam; to nasz Ofir teraźniejszy. W tamtym niéma już od lat trzech żywej duszy. Wydobyli z niego co mogli, a gdy złota zbrakło, przenieśli się do *Piramid*. Nie jedź tam, to pustynia!

Gdybyście jednak nie słuchali tej rady, i wzdłuż szybko zarastających, znikających ścieżek trafili do dawnego Ofiru, przekonalibyście się, że ów pionier przedstawił z przesadą jego opustoszenie. Znajdziecie jeszcze gruzy wielkich domów, i obmurowane łoża, w których spoczywały niegdyś potężne maszyny; znajdziecie kilka mil kwadratowych, porytych i poświdrowanych tysiącem szybów, co się zapadają z łoskotem. Okolica przypomni wam powierzchnię księżyca, którego każdą część rozsadziły wybuchy wulkaniczne i podziurawiły kratery, aż stała się podobną do gąbki. W środkowym punkcie onych gruzów i zniszczenia tuli się kupka namiotów i szałasów. Co rano i co wieczór snują się w koło nich apatyczne, milczące, odarte postacie.

Jest to górnicza załoga okolicy, garstka, która, przywiązawszy się do miejsca (bo pewne serca przylgnęłyby i do Sahary), lub niemając środków na opuszczenie przeklętego gniazda, ryje mozolnie z dnia na dzień, jego wyjałowione łono. Na ich twarzach nie wyczytacie nigdy wyrazu radości, ani nadziei, bo żaden wieczór nie nagradza ich dziennego trudu obfitszym plonem i nic nie wróży im lepszego jutra. Ich twarze wynędzniałe, ich odzież, którejby się wstydził Kafr lub Hottentot—dają wymowne świadectwo nędzy. Kując mozolnie i nieustannie w złożu kopalni, wydostają z niego tyle, że z głodu umrzeć nie mogą, lecz nie znajdują dość, aby żyć po ludzku, lub przenieść się w inne miejsce. Dawno straciwszy nadzieję wydobycia się z tego wygnania, przypominają stan najnędzniejszych gmin, w najbardziej przeludnionych ziemiach starego świata, z tym smutnym dodatkiem, że ich otacza pustynia, że są oddzieleni, gorzej niż murem chińskim od wiru społecznego, że umarli dla świata za życia. Jedna zostaje im pociecha: wieczorami, przy ognisku, na które znieśli paliwo z mozołem (bo liczna ludność wycięła za dobrych czasów bór miejscowy w szerokim obrębie), prawią o przeszłej świetności osady. Wszak minęła niedawno.... lat temu dziesięć, może pięć; wszak przewyższyła wszystko, co było przed nią a i po niej nie widziano nic podobnego! Pamiętają sta faktów, tysiące anegdot o niej. Tędy szła ulica, którą toczył się co wieczór tłum z kilkudziesięciu tysięcy górników, spekulantów, kobiet.... szalona bachanalia, sypiąca pyłem złotym. Tam, nad rzeczułką, świeciły gmachy podobne do fabryk europejskich, które pytlowały dniem i nocą rudę złotodajną, a co sobota wywożono z nich kruszec *taczkami*. Blizko ich zwalisk, gdzie hałdy z głębokich szybów żółcieją i bielą się nakształt mogił, szła żyła kruszcowa, z której szczęśliwsi wydobyli pańskie fortuny. Gromadka siedząca przy ognisku, wierzy, iż w gorączce pierwszych poszukiwań, prześlepiono niejedną gałąź tej żyły, i każdy mógłby dziś jeszcze zbogacić się, lecz, niestety, nikt nie ma sił i środków do odszukania skarbów, zatopionych przez wodę. Takiemi opowiadaniami zabijają cichy, ciepły wieczór australski, póki Krzyż Południowy nie zasunie się za bór zachodni. Szare eukaliptusy, odbijające się niewyraźnie na błękicie, podobniejsze do duchów drzew, niż roślin z kory i konarów, chwytają w lot jasne meteory konstellacyi. W siatce ich gałęzi płoną wielkie, ogniste gwiazdy — to znak dla górników, że czas do spoczynku. Za chwilę *dingo* [1]) zaskomli i zawyje na ruinach Ofiru. On mieszka w nich w nocy, a w dzień wyręcza go rój jadowitych wężów, co się wygrzewają na zapadłych szybach. Jednakże był czas, w którym te samo miejsce naśladowało zgiełk i rozpustę bulwarów paryzkich. Jego upadek i wyludnienie przedstawia widok, ściskający serce smutkiem.

Dwa żałobne tego rodzaju obrazy — rozhukany *Pacific* unoszący okręt ku mieliznie, tudzież wyludniona kopalnia—przedstawiłyby się jednocześnie wędrowcowi, któryby schodził pewnego dnia, na rok mniej więcej przed wypadkami, opisanemi w dalszych rozdziałach, z Gór Błękitnych ku zatoce *Twofold*. Był to dzień zimowy, podług pojęć o zimie w Australii: wiatr dął od południa, w nieregularnych, wściekłych wirach, burząc morze, rzucając na skały i piaski massy ukropu i piany, obalając nakształt dróg wyciętych siekierą, długie pasma drzew rosnących gęsto i prosto. W swym locie wzdłuż równin nadmorskich pędził on wielkie obłoki przed sobą, które gromadziły się w koło gór, leżących równolegle z wybrzeżem, i zalewały niższe ich stoki deszczem, a bieliły czuby ich śniegiem. Niekiedy słońce przedzierało się przez obłoki; posiadając niezmierną potęgę w tej strefie, w zimie nawet topiło ono gwałtownie śnieg spoczywający na górach. Ztąd panorama zmieniała się co godzina; pagórki raz się obwijały w białe całuny, drugi raz odzyskiwały barwę swej roślinności, wzdymały się skałami o różnych kolorach, a z ich boków spływały mętne wodospady. Słowem, była to zima wilgotna, zmienna, obrzydliwa, a wszystkiemu winien był ów wielki łańcuch Gór Błękitnych, niedaleki od morza, zatrzymujący burze, wilgoć i chłód, jakie zasyłał lądowi ocean. Za górami, na szerokich nizinach w środku kontynentu, znajdziemy kraj wiecznego lata, ciągłego skwaru i posuchy. Być może, iż wypadki naszej powieści zaprowadzą nas i do tej okolicy. Narazie nie znamy innej sceny, oprócz wzgórz, zbiegających stromo do zatoki *Twofold*, której nazwisko znają wszyscy mieszkańcy antypodów, chociażby z tego powodu, że owe pagórki zawierały przed kilkunastu laty jednę z najbogatszych kopalni australskich, którą w mowie potocznej nazywano *Gulf* (Odnoga).

Wymieniona zatoka słynęła także z innego, mniej pochlebnego powodu. Jej północny przylądek sięgał dalej ku wschodowi, niż którakolwiek część okolicznego lądu. Okręty płynące od południa, musiały zbaczać z prostego kierunku i okrążać w wielkiem kole nietylko ów przylądek, lecz i niezliczone skały i mielizny: wybiegające z niego w morze. W latach, o których piszemy, latarnia morsks, zbudowana później przez troskliwy rząd, nie ostrzegała jeszcze mrugającym promykiem, kędy leżał przylądek i mielizny: więc niejeden żeglarz nie umiał obliczyć rzeczywistej długości przylądka i znajdował się o świcie w zatoce Twofold. Mógł się nazwać szczęśliwym, jeżeli brzask dzienny pokazał mu skały zagradzające dalszą podróż na północ, zanim sztaba jego okrętu o nie uderzyła. Nawet w takim razie położenie jego byłoby bardzo smutnem, jeżeliby wiatr dął od wschodu lub południa, gdyż zatoka była zupełnie otwartą w tych kierunkach. Dobry okręt w pogodę mógł wylawirować z niej na pełne morze; ale w zimie, w burzy, owe ogromne, olbrzymią siłą obdarzone fale oceanu Spokojnego, rzucały go zwykle w głąb' zatoki i rozbijały na jej mieliznach. Wypadki tego rodzaju powtarzały się często, choćby dlatego, że zatoka Twofold leżała przy szlaku wodnym, po którym wszystkie okręty z Melbourne do Sydney żeglowały. Z naw kursujących pomiędzy dwiema stolicami Australii; z licznych, drobnych statków zmierzających z Tasmanii na północ wielkiego lądu, wpadł już niejeden w matnię zatoki. Podobna przygoda wydarzyła się parę razy wielkim okrętom, dążącym z Europy do Sydney, naładowanym cennemi towarami i cenniejszą ładugą z kilkudziesięciu osób. Biedacy cieszyli się, że za jaką dobę ujrzą przystań i staną na lądzie. Okrutna zatoka rozczarowywała ich w straszny sposób. Tego rodzaju katastrofy powtarzały się tak często na jej wodach, że pomiędzy żeglarzami australskimi ustaliło się przekonanie, iż zdrada ludzka przyczyniała się do wciągania okrętów na owe mielizny. Chociaż rzecz ta nie stoi w bezpośrednim związku z naszą powieścią, nadmienimy, że późniejsze badania dowiodły, iż majtkowie mieli racyę. Po upadku kopalni znaleźli się ludzie, którzy korzystali z dzikości i samotności okolicy, w celu oddawania się rzemiosłu, w wielu barbarzyńskich krajach praktykowanemu: wabieniu okrętów na mielizny i zbieraniu towarów, wyrzucanych później na wybrzeże. Twierdzono, iż korsarze w zatoce Twofold posługiwali się sposobem, który łatwo zwodzi najprzenikliwszych szyprów. W ciemnej nocy, gdy spodziewali się, że okręt jaki żeglował przed zatoką, wysyłali człowieka na koniu albo z długą żerdzią. Człowiek ten trzymał wysoko latarnię, i poruszał ją nieustannie, regularnie. Od strony lądu światło latarni było zakryte blachą, ale jaśniało tem silniej od strony morza; jego barwa i ruch czynił ją podobną do latarni okrętowej, bujającej na głębokich, bezpiecznych nurtach; dowódzca okrętu mógł się więc łatwo pomylić. Sądząc, że inny okręt płynie tamtędy, dążył on w kierunku światła, żeby ominąć ów fatalny przylądek. Jaki los spotykał zmylony okręt i załogę, łatwo domyśli się czytelnik. Rozbicie statku, wyrzucenie na ląd beczek i skrzyń zawartych w nim, zatonięcie załogi—nie kończyło katastrofy. Tych, co wpław lub w łodzi do brzegu się dostali, spotykała śmierć okrutniejsza, bo korsarze wszystkich ziem wierzą w zasadę: „Nieżywi nie mogą zdradzić tajemnicy.“

Tego rodzaju zdrada usidliła pewien okręt, którego położenie przyczyniało się do okropności obrazu, na jaki patrzałyby oczy wędrowca, spoglądającego z gór na osławioną zatokę, w dniu wspomnianym powyżej. Wędrowiec mógłby zobaczyć morze, jak je odmalowaliśmy na wstępie opowiadania i opuszczoną kopalnię, z grupą nędznych szałasów i gromadką nikczemnie wyglądających górników, i okręt, pasujący się, bez nadziei ratunku, u fatalnych mielizn. Ale jeżeli okręt dostał się tam z winy niektórych mieszkańców okolicy, postępowanie górników dowodziło, iż większa część ludności w Gulfie była prawą i dzielną. Zobaczywszy o brzasku dnia położenie smutne okrętu, okrążyli oni część odnogi, aby zbliżyć się do niego, ubolewali nad jego losem; cieszyli się, ile razy wiatr łagodniał, a statek korzystając z chwilowej ciszy, zdobywał się na poruszenia, oko w oko burzy spoglądał, i oddalał się od niebezpieczeństwa. Zbiegowisko na skale, zkąd walkę ludzi z żywiołami najlepiej było widać, wydawało wtedy radosne krzyki; gdy przeciwnie wiatr się wzmagał, a fala po fali wtrącała statek w głąb' zatoki, poczciwi górnicy zalewali się łzami. Nareszcie znikła ostatnia nadzieja zbawienia dla okrętu. Jego czarne burty drgały już pomiędzy zielonym i perłowym *wartem*, szumiącym w długiej linii, równolegle z lądem. Wart ten oznaczał: gdzie kończyła się głęboka woda a zaczynały mielizny. Skoro okręt wpadł weń, stał się bezwładnym, a utknąwszy na skale, przestał się podnosić i opadać z falą. Bałwany znalazły nową zaporę w jego cielsku; zaczęły się przewalać przez jego pokład, zmiatać domki i ludzi, tłuc o maszty, na które się schroniła czynniejsza część załogi, rozbijać i zatapiać łodzie okrętowe, spuszczane przez nieszczęśliwych żeglarzy.

Biedna, odosobniona osada górnicza w Gulfie nie posiadała ani rakiet z linami, ani łodzi korkowych ani żadnych innych przyrządów, używanych w krajach ucywilizowanych do ratowania rozbitków. Nie miała ona środka do połączenia wybrzeża z okrętem, tkwiącym o paręset kroków od niego. Jeden powróz od masztu do skały, wyciągnąłby wszystkich szukających bezpiecznego schronienia, ale kto połączy przedmioty, rozdzielone straszną otchłanią? Najlepszy pływak nie zwalczy wiru, łódź okrętowa nie zdoła odbić od burtu — bałwan rozbije ją o tensam burt. Czółna górników nie były zbudowane do takiej żeglugi; — przekonali się, o tem, próbując nieść pomoc okrętowi. Fale wywracały ich czółna, używane w czasie spokojnym do ryb połowu, a zbudowane nakształt łupin orzechowych. Wioślarze z trudnością wyrywali się śmierci i nie ważyli się już na drugą wyprawę. Tymczasem maszt po maszcie padał na okręcie; dwa stały jeszcze: główny i środkowy, którego reje służyły za schronienie dla całej załogi, oraz mały, pochylony maszcik na sztabie, u którego zwieszony był jeden tylko człowiek, gdyż towarzyszy jego wszystkich już pochłonęło było morze. Tylko bły-

1) Dziki pies australski.

skawiczny cudowny akt Opatrzności mógł ocalić tych ludzi.

* * *

W tej chwili zjawiła się na skale kobieta, na koniu, którego dosiadała nie nakształt amazonki, lecz po męzku, jak nieraz czynią wychowanki puszcz australskich. Nawet zajęcie się losem tonącej załogi, nie mogło powstrzymać górników od przeciągłych spojrzeń na tę istotę. Nie dziw, bo oprócz niej i Papuanek, nie zdarzało się im często widzieć kobiety. Amazonka, aczkolwiek ubrana z niedbałością, cechującą mieszkańców okolicy, z włosem wilgotnym od deszczu i rozwianym, cerą ogorzałą i powierzchownością wpół dziką, zasługiwała jeszcze na ciekawe a gorętsze spojrzenia: była młodą, żwawą, nieszpetną. Niebawem nakazała podziwiać w sobie cenniejsze jeszcze przymioty.

Pomiędzy nimi znajdował się niewątpliwie niejeden zuchwały i zręczny jeździec, jednakże żaden z nich nie byłby się podjął tego, co amazonka zamierzyła; koń jej, przyuczony do zbiegania po skałach, nakształt kozy, niósł ją po stromej pochyłości, spadającej w morze wprost okrętu. Zbiegłszy na piaski lotem mewy, niezważając na wołania mężczyzn, amazonka spięła konia i zmusiła go do wskoczenia pomiędzy bałwany. Walka konia z żywiołem trwała kilka minut, podczas których widzowie ważyli możliwości boju, tak nierównego napozór. Zwykłe nałogi nie opuszczały ich nawet w tej solennej dobie.

— Utonie! jak szczęścia pragnę! — wołał jeden. — Koń nie wypłynie z tej fali.— Jak żyw, nie widziałem tak wściekłej piany na Kwoce i Kurczętach. Kładę uncyę złota przeciw twojej nowej łopacie, że dziewczyna utonie!

„Kwoką“ nazywano w miejscowem narzeczu skałę, na której tkwił okręt, „Kurczętami“ zaś owe pomniejsze głazy, na których szumiało morze, i które nie po zwalały łodziom lądowym dostać się do okrętu.

— Przyjmuję zakład! — krzyknął zamurzany właściciel łopaty. — Zuch-dziewczyna! i ma więcej rozumu od nas wszystkich. Gdybyśmy byli dosiedli koni, zamiast wywracać się w czółnach i topić, bylibyśmy wydobyli każdą duszę z tego okrętu. Bies pozbawił nas przytomności! Wszak każdy z nas wie, że gdzie człowiek i łódź nie przepłynie, tam koń przejdzie. Zobaczycie, że dziewczyna nas wszystkich zawstydzi.

Wróżba zapalonego mówcy spełniła się nie bez trudu. Dziewczyna przebyła szczęśliwie pierwszą linię ukropu, szumiącą bliżej brzegu, przepłynęła stosunkowo cichą, głębszą wodę pomiędzy piaskiem nadbrzeżnym i Kurczętami, i wpadła w wir który wywracał był łodzie. Szlachetny koń posuwał się z bałwanami, jeździec przykuł się do niego tak, iż zdawało się, że kobieta i koń tworzą jednolitego centaura. Ludzie na maszcie nie próżnowali ze swej strony; wyrzucali cienkie, giętkie powrozy, które jednak chybiały amazonki. Nareszcie pochwyciła ona koniec sznura, i zwróciwszy konia, powróciła do brzegu. Przywitano ją wiwatami; górnicy zaczęli przyciągać gruby powróz, połączony przez załogę z owym sznurem. Była to trudna praca.... morze wyrywało im z rąk linę. Pracując w takt, przy śpiewaniu „hoj-ho, hoj-ho“, przywlekli okrętową linę do brzegu, najpierw jedną, później drugą. Liny przyciągnęły tratwę zbitą naprędce przez załogę z burtów i rejów, oderwanych przez wodę lub odciętych przez topory. Kobiety, dzieci, podróżnicy, majtkowie—zgoła wszyscy, oprócz tych, których morze dawno uniosło było z pokładu, dostawali się na ląd zbawczy. Nareszcie został na okręcie człowiek, wiszący na przednim maszcie. Koledzy zapomnieli o nim w zamieszaniu; nie rzucono mu liny, w celu przeniesienia go z przedniego masztu na środkowy. Jeżeli wołał o pomoc, nie słyszeli jego głosu, wśród ryku bałwanów; być może, iż go nie widzieli zgoła. Dopiero, gdy wszyscy zebrali się na wybrzeżu, przypomniano sobie owego rozbitka. Wszczęła się narada: kto ma wrócić wzdłuż liny i ułatwić mu dostanie się z owego gniazda do głównego masztu? Bez obcej pomocy nie mógłby tego uczynić, bo na całej przedniej części okrętu szalało morze. Część ta była narażoną na wściekłość fal, a wznosząc się nad środek pokładu, nakształt zamczyska panującego nad fortecą, zasłaniała środkowy maszt i majtków, którzy ową tratwę złożyli.

Naradę przerwał krzyk jednego z górników. Człowiek ten zauważył, że amazonka jeszcze raz pasowała się z falą, i zawstydzając wszystkich, płynęła ku opuszczonemu. Zadanie jej było tym razem trudniejsze. Dzielny rumak potknął się o linę przeciągniętą nad morzem; amazonka spadła z konia, ale w mgnieniu oka go dosiadła. Samotny rozbitek nie mógł rzucić liny, gdyż jej nie miał, lecz zachęcony giestami amazonki, sam się rzucił do morza, skoro koń zbliżył się do burtów okrętu. Rozumie się, że tuż przy tych burtach i od strony lądu, woda była spokojniejszą, bo okręt służył za groblę, zasłaniającą to miejsce od wzburzonej wody na otwartem morzu.

Rozbitek pochwycił rękę amazonki, wyciągniętą ku niemu, chwycił podaną sobie grzywę konia, i wlókł się przy nim przez bałwany. W kilka minut później witano już na lądzie i amazonkę i ocalonego przez nią człowieka. Troskliwsi, widząc ją przemokłą i drżącą od chłodu, a dzielnego konia zbroczonego posoką, gdyż skały skaleczyły go w niejednem miejscu, chcieli konia opatrzyć i przebrać amazonkę w suchą odzież, chociażby męzką.

— Dajcie nam pokój!—zawołało dziewczę, uderzając konia nogą. — Zajmijcie się rozbitkami, ratujcie topielców, nałóżcie wielki ogień. Ja jadę do domu po żywność. Niewiele tam, ale wystarczy na ciepłe śniadanie dla wszystkich.

Ledwie skończyła, koń zadzwonił kopytem po kamykach nadmorskich. Amazonka śpieszyła się, bo od tej zatoki liczono godzinę jazdy do miasteczka.

Za nią leciały błogosławieństwa rozbitków i pochwały sąsiadów. Wszyscy zgodzili się na to, że cała Australia nie ma drugiej takiej amazonki jak Gracya Busel i że wspomnienie jej czynu będzie świeciło, nakształt wspaniałej gwiazdy, nad ciemnem wybrzeżem zatoki Twofold.

II.

Pamięć powyższego wypadku przechowywała się w Gulfie przez rok przeszło, zanim wydarzyły się sceny, które zamierzamy opisać w dalszych rozdziałach. Rok ten nie bardzo zmienił powierzchowność tej górniczej osady, a zmiany jakie były, wyszły jej na niekorzyść, czyniąc ją dziksza i smutniejszą. Żeglarze i podróżnicy wyratowani z okrętu, dawno opuścili byli okolicę. Pomiędzy nimi było niemało powracających z Europy Australczyków, którzy udali się w głąb' kraju, skoro wytchnęli z przerażenia i wyleczyli się z guzów. Część majtków rozbiegła się także. Nikomu w Gulfie nie przyszło na myśl: sprawdzić zawczasu, kto utonął owej nocy; jak się ci nazywali, co zawdzięczali życie Gracyi Busel? Nareszcie przybył z Sydney jacht rządowy, żeby odstawić resztę rozbitków do stolicy, sprawdzić fakt rozbicia, zebrać szczegóły o uratowanych, i zwrócić gościnnym górnikom to, co wydali ze skromnych, własnych zasobów niespodzianym gościom. Kommissarz znajdujący się na parowcu, otrzymał bardzo niedokładne wskazówki codo liczby i nazwisk uratowanych pasażerów, a jeszcze mniej dowiedział się o przyczynie katastrofy. Okręt nazywał się *Dunbar;* mierzył 1,400 beczek; odbywał pierwszą podróż z Europy do Sydney; wiózł trzydziestu kilku majtków i stukilkunastu podróżnych. Większa połowa utonęła wraz z szyprem. Ksiąg okrętowych nie uratowano.

Majtkowie pamiętali, że szyper zmienił kierunek okrętu o północy, zbaczając do światła innego okrętu. Kommissarz nie wątpił, że te fałszywe światełka były przyczyną rozbicia się *Dunbaru.* Kto je wywiesił? Najbliższemi siedliskami przy osławionym przylądku były: osada górnicza, nazwana Gulf, i stacya starego, dawno w tej okolicy gospodarującego, *skwattera* czyli właściciela trzód, pasących się w lasach rządowych. Obie siedziby leżały w równem oddaleniu od zdradzieckiej skały. Urzędnik nie śmiał podejrzewać skwattera, ani jego ludzi; gdyby zaś górnicy trudnili się korsarstwem, nie żyliby w takiej nędzy. Pomimo troskliwych badań, nie znaleziono w okolicy ani śladu, ani świadka, któryby podał wskazówkę do poznania tajemnicy. Na razie wyznał brataniec owego skwattera, że w nocy, gdy *Dunbar* się rozbił, jechał z wizytą do stryja i parę razy zadziwiło go światło na owej skale; ten świadek jednak mieszał się w dalszem śledztwie, wpadał w sprzeczność, starał się złagodzić doniosłość wyznania poprzedniego. Kommisya powróciła do stolicy, niczego nie dokazawszy i przywiozła jaknajgorsze wyobrażenie o mieszkańcach Gulfu. Długo ostrzegano żeglarzy we wszystkich gazetach w Sydney i Melbourne, aby trzymali się jaknajdalej od zbójeckiej zatoki. Okrom tego negatywnego rezultatu, pozostał dodatni dowód pobytu kommissyi w Gulfie, w kształcie złotego medalu, udzielonego w imieniu Towarzystwa Humanitarnego w Sydney, bohaterskiej Gracyi Busel. Wszystko to dało powód do mnogich gawęd przy ogniskach górników. Łamano sobie głowę nad sprawcą złej reputacyi, którą ich osada nosić będzie na wieki; szeptano bardzo ostrożnie podejrzenia: dlaczego ów młodzieniec plątał się w swej indagacyi przed kommissyą; podziwiano śmiałość dziewczyny; powtarzano anekdoty o zamorskich gościach, którzy *nolens volens*, spędzili kilka tygodni w Gulfie. Z upływem czasu zajęcie się tą rzeczą osłabło w umysłach, nękanych troskami i pracą, i zwykła apatya i cisza zaległy osadę. Jej weterani ubywali: jednego zadusił gaz zabójczy w starym szybie; innego zgniotła zapadająca się galerya; trzeci zabłądził w górach i skonał z pragnienia; inni poumierali śmiercią naturalną, jeżeli wycieńczenie sił wskutek klimatu i niewygód, wolno nazwać naturalną śmiercią. Ha, chociażby wszyscy wymarli, stare szyby, których tysiące ziało na pagórku przy osadzie, wystarczyłyby na cmentarz!

Zapewnie mówionoby jeszcze rzadziej o owem zdarzeniu, gdyby obecność jednego z rozbitków nie przypominała go niekiedy.— Był to człowiek, którego Gracya uratowała z przedniego masztu. Nie skorzystał on z ofiarności rządu i nie dał się wywieźć do stolicy; nie opuścił wybrzeża, by szukać szczęścia wewnątrz kraju, lecz zajął szałas po jednym z nieboszczyków i został obywatelem Gulfu. Sąsiedzi różnie tłómaczyli krok jego. Pamiętali oni czasy, gdy tysiące podróżnych przybywały ze wszystkich stron świata, by pruć złotodajne pokłady miejscowe—ale te czasy dawno minęły. Nikt nieobeznany z kierunkiem żył exploatowanych niegdyś, nie mógł osiąść tam i liczyć choćby na najskromniejsze utrzymanie. Gulf był dla obcego chaotyczną massą kopców, jam i galeryj napełnionych zatrutem powietrzem, aczkolwiek tubylcy, którzy pamiętali kędy szły podziemne szlaki kruszczowe, umieli odszukać ich resztki. Nie wróżyli oni powodzenia nowemu swemu współobywatelowi. Z czasem przekonali się jednak, że albo szczęście mu sprzyjało, albo instynkt, właściwy dobrym górnikom, kierował jego pracą, bo milczący, od wszystkich stroniący, przybysz, który tak rzadko pytał o radę (a byłby jej nie otrzymał, chociażby i pytał), znajdował we wnętrznościach Gulfu środki do życia. Pan Busel, właściciel jedynej karczemki i kramu w osadzie, którego funty były lekkie, a uncye i gramy (temi ważył złoto, dawane mu za wiktuały) były podobno cięższe niż być powinny, traktował dość grzecznie nowego swego *kundmana*, dowód najlepszy, że ten kundman nie potrzebował kredytu. Pan Busel był jednak zbyt wytrawnym kupcem, aby miał komukolwiek zdradzić, ile złota przynosił którykolwiek z jego klientów, w sobotę wieczorem. Górnicy w takiej okolicy mają słuszne powody, żeby lewa ręka nie wiedziała, ile prawa trzyma. Pamiętajmy, iż brat bratu nie ufa w pozbawionej panowania praw pustyni. Dość, że rozbitek nie był nikomu ciężarem i przyzwyczajono się do niego. Jeżeli został w biednym Gulfie, był to dowód oczywisty, że nie miał nigdzie mienia, rodziny i ogniska, że było mu wszystko jedno, gdzie wlecze samotny żywot. Sąsiedzi byliby walce nie zwracali na niego uwagi, gdyby nie był się różnił cokolwiek od nich zwyczajami i nałogami. Niektóre z tych zwyczajów i nałogów budziły w nich śmiech. Wszyscy prostacy i harbarzyńcy lubią mieć kozła ofiarnego, żeby popisywać się na nim swym dowcipem. Takim kozłem zrobili rozbitka.

Gdyby nie on, nie byłoby o kim i o czem gadać w Gulfie. Murzyn na koniu przywoził naz na tydzień pocztę, w formie kilku listów dla właścicieli kramu i stacyi, i jednej gazety dla pana Busela,

której podobno nikt nie czytywał, bo mieszkańcy Gulfu dawno przestali się zajmować tem, co się działo w reszcie świata, poza ich osadą. Raz w miesiąc przechodziła eskorta czyli patrol, złożony z żandarmów, którzy ciągnęli het od Śnieżnej Rzeki, gdzieś daleko w Alpach Australskich. Nad tą rzeką znajdowały się ludne i bogate kopalnie. Patrol ten w swem przejściu zabierał złoto od kupców i górników, rozrzuconych po kraju, i odstawiał je ostatecznie do stolicy, pod poręką rządową i opieką swoich rewolwerów. Skoro patrol zaszedł przed sklep Busela, górnicy zbierali się pod rozłożystym cedrem. Było to jedyne drzewo we wsi, które oszczędziły topory ich poprzedników. Jedna część cedru ocieniała sklep pana Busela, druga wisiała nad szybem, zamienionym w studnię. Zpod tego drzewa przypatrywano się zapylonym wojakom; pod niem zbierały się w gorących dniach stare szkapy górników na „popołudniowego szpaka“ i stojąc parami, każdy głową do ogona kolegi, opędzały z siebie zajadłe muchy australskie. W niedzielę parlament miejscowy zasiadał pod drzewem, a uczestniczyła w nim cała kolonia. Brodaci weterani czarnego *złoża*, pokazywali się wtedy w czystych bluzach flanelowych; zasiadali indyjskiem kołem na głazach, albo wiadrach obróconych dnem do góry,—gawędzili i spoglądali na morze. Pyszny widok wybrzeża, skał, przylądków, toni i białych żagli, daleko, daleko przemykających się, przemawiał nawet do tych serc apatycznych. Napatrzywszy się nań, opowiedziawszy to wszystko, co pamiętali o „dobrych czasach“ i owej dobie „kiedy-to jeszcze znajdowano w Gulfie złoto“, wytrząsali popiół z fajek i rozchodzili się leniwie na swe barłogi. W dni powszednie nie mieli czasu na pogadanki pod drzewem.

Musiał to więc być niezwykły wypadek, który zgromadził ich tam pewnego poniedziałku. Okrom *Rozbitka*, niestawiającego się nigdy na podobne zebrania, zebrali się wszyscy. Na i ch twarzach przebijało się wzruszenie, podobne do tego jakiemu ulegali w pamiętnym owym poranku, gdy *Dunbar* rozbił się w zatoce. Przedmiot zebrania był o tyle zajmującym, że szczupła gromadka podzieliła się na kilka kółek,które żywo rozbierały nadzwyczajne wydarzenia poprzedniej nocy.

— Powiadam ci — gardłował parobek Busela, prezydujący nad grupą przy pniu — że stary jegomość musi być bardzo chory. W nocy nadbiegł jego murzyn, Gałka Śniegu. Rzeka wezbrała, jak nie pamiętają, więc nie śmiał jej przepłynąć. Wrzeszczał zpoza wody, że byłby zbudził siedmiu umarłych. Przewiózłem go i spławiliśmy konia. Jechał do Edenu.

— Do Edenu! — zawołał inny. — Pewnie po doktora. Założę się, że jeszcze tam nie dojechał. To sześć godzin jazdy, przez dyabelskie góry. Nie wróci przed wieczorem, chociażby miał najlepszego konia z pastwiska Bella.

— Miał go.... tego gniadego, pełnej krwi, z białemi pęcinami; szkapa jak ptak. Skoro mi tylko Gałka Śniegu powiedział, że jedzie do Edenu, zgadłem zaraz, że po doktora. A kto u was kark skręcił? pytam, bo przecież nikt nie choruje na tej stacyi.

— A, stary jegomość —rzecze murzyn— Stoczył się z wysokiej skały i ręką ani nogą ruszyć nie może, ale wciąż klnie i złorzeczy synowcowi.

— Szkoda starowiny—ktoś bąknął.

— A co tobie dobrego zrobił, albo komukolwiek?—ofuknął inny.

— Nic, ale i nic złego. — Gdyby Busel stoczył się z jakiej skały—i....

Część słuchaczy przyświadczyła pobożnemu życzeniu. Górnicy zawsze uważają liweranta prowiantu za coś w rodzaju opryszka.

— Co u pioruna zaprowadziło Bella na skałę?— zapytano z różnych stron.

Uważny słuchacz byłby prawdopodobnie znalazł odpowiedź na tę zagadkę w rozprawach przy studni, zkąd inna znowu grupa patrzyła na zatokę. Poranek był tak pogodny, że możnaby się zakochać w życiu, które obdarza nas podobnem niebem. Nad wodą powiewał wietrzyk, niepozwalający jej zachować szklanego, martwego połysku. lecz zaciemniający jej powierzchnię drobnemi falami. Pomimo pogody, mewy wrzeszczały trwożliwie, a cielęta morskie uciekały do wody, płochliwie rycząc. Ten popłoch pomiędzy pierzastemi i czworonogiemi wywołał był okręt, posuwający się powoli po zatoce. Zakreślał on po niej nieustanne koło, niechcąc snadź zarzucić kotwicy.

— Wojenny to okręt — mówię wam!—twierdził mężczyzna, różniący się odzieżą od zgromadzenia. Inni mieli białe kaftany, białe spodnie i czapki płócienne—były one niegdyś białemi, lecz zamazała je później glina żółta albo ceglasta; on zaś miał na sobie błękitną, wełnianą bluzę i był bosy. W ręku trzymał wiosła i kawał sieci. Wszyscy znali go, jako rybaka, przynoszącego do kopalni swój połów.

— I parowiec do tego!—dodali towarzysze.

— Odkiedy zatoka zatoką, nie widziała takiego gościa—znów począł rybak. — Gdyby się im było udało zwabić go na skały, ową latarnią....

— Jakto? – czy próbowali?

— Próbowali i złapali—tatarzyna. Kapitan krążył tamtędy umyślnie, żeby ich schwytać na gorącym uczynku. Wymknęli mu się jednak.... chytre to psy. Licho chciało, żebym się wybrał przed świtem do sieci. Zostawiłem je w zatoce wczoraj wieczorem. Capnęli mnie, zawieźli na pokład; myślałem, że mnie powieszą. Indagowali mnie jak rozbójnika, musieli jednak puścić, ale ta sprawa nie skończy się ani dziś, ani jutro. Kapitan klął, na czem świat stoi, że wytępi całe korsarskie gniazdo. Oni podejrzewają Bella.

— Bella!—krzyknęli wszyscy.

— Tak, Bella—zapewnił rybak.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NAUKA I WYCHOWANIE DZIEWCZĄT.

II.

Nauczycielka—Guwernantka.

(Dokończenie).

Przeciętnie biorąc, w społeczeństwie niebogatem tylko bardzo niewielki procent ludzi cieszy się względnie taką zamożnością, aby rodzice dzieciom swoim więcej, niżeli jedną guwernantkę naraz dać mogli. Stowarzyszanie się w tym celu kółek pokrewnych, czy węzłem przyjaźni i zażyłości sąsiedzkiej związanych, jest jeszcze rzadkie, dopieroco w życie wchodzić poczynające, i niewszędzie da się przeprowadzić, niewszędzie odpowiednie sobie żywioły znajduje. Że przecież guwernantka nie może bez spracowania się nadmiernego, bez bardzo ważnej dla siebie straty, całego swego czasu dzieciom poświęcać, rodzice mogą się niespokojnie zapytać: jak zatem postąpić mają, aby dzieci przez stosunkowo znaczną część dnia nie pozostawały bez żadnego kierunku? Otóż odpowiedziałabym na to, że dopóki dziecko pod dachem rodzinnego domu pozostaje, nigdy bez „żadnego kierunku“ nie jest, bo kierunek ten daje mu duch, który tu rządzi; wywiera go atmosfera, domowe ognisko owiewające—panujący nastrój moralny. Dziecko ze szkolnego pokoju, zpod opieki, zpod straży guwernantki wychodząc, wraca na łono rodziny, że się wyrażę przez tę starą metaforę, która przecież nigdy przestarzałą nie będzie, bo jest głęboko-filozoficzną. Rodzina piastuje, rodzina hoduje w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu, i dlatego-to owe oddzielanie się dziecka na czas jakiś od guwernantki, od szkoły, które zbyt troskliwych rodziców niepokoić może, nietylko, że szkody żadnej dobremu wychowaniu nie przynosi, ale przeciwnie, daje korzyść tak wielką, że przy najliczniejszej drużynie nauczycielskiej mieć miejsce powinno. Jednym z poważniejszych zarzutów, przeciw pensyonarskiemu wychowaniu dziewcząt stawianych, jest to, że młoda panna odwyka w niem nazbyt od życia w rodzinie, od jego zajęć i prac, które przecież stanowić będą grunt jej obowiązków kobiety. Jeżeli jednak w domu rodzinnym wychowanie córki tak urządzonem zostanie, że żywy prąd życia gdzieś mimo przepływać będzie, a ona odosobniona od niego, rośnie jak w twierdzy sztucznie zbudowanej, nic tu na korzyść jej nie przybędzie, że twierdza owa w obrębie rodzinnego życia jest wzniesioną. Wyobraźmy sobie dziewczę, które po skończonych lekcyach z guwernantką na spacer pójdzie, z guwernantką w ogrodzie lub na ganku posiedzi i znów do pokoju z nią powróci, aby nanowo zająć się książką, muzyką lub konwersacyą francuzką, na której korzyść, niestety! dzieje się to wszystko na jczęściej, najogólniej. Czy najpierw znaczy to rzeczywisty wypoczynek, rzeczywiste jego użycie i swobodne oderwanie się od tego, co poprzednio pracą było? Czy następnie jest to droga otwarta dla wpływów rodzinnego, domowego życia, aby działały, wyrabiały potrzebne nawyknienia, wytwarzały zamiłowanie przyszłej obowiązkowej pracy życia? Dziewczę tak wychowywane staje się z jednej strony fizycznie wątłą, do ciężarów czekającego je powołania mało zdolną, istotą, z drugiej lalką niepraktyczną, czemś w rodzaju tych wymarzonych ptaszków rajskich, które, nóg pozbawione, nie miały o czem na gruncie ziemskim stanąć. Ptaszki te posiadały przecież skrzydła do bujania w eterze, lecz sztuczne, konwencyonalnie prowadzone wychowanie, rzadko kiedy uskrzydla i do lotów wysokich siłę daje. Nauką, z wszystkich nauk wynikającą, wypadkową wszystkich, ich summą, jest ta mądrość, która nam nakazuje powinnościom zadość czynić, uczciwie z ogółem społeczeństwa swego pracować, chleba tak darmo nie spożywać, jak tego Paweł Ś-ty nawet kapłanom, nawet lewitom zakazał, nauczając: „Kto nie pracuje, niech nie je“. Przytem od żywego życia człowieka bezkarnie oderwać nie można, nie można zagrodzić ujścia siłom, które pracują w jego głębi, bo się nieprawidłowo gdzieś skierują—i tak bywa z dziewczętami, które wychodowano jak kwiat w cieplarni. Nieprzygotowane do życia na jego podstawie poważnej, naturalnej, lekkomyślnie i nienaturalnie się wykrzywiają, i to jest początek tych nicości niepożytecznych, które pod nazwą „panien na wydaniu“ marzą tylko o strojach, zabawach i karyerze świetnej. Niéma nic boleśniejszego nad widok takich panien bezczynnych, strojnych, w salonach czy salonikach na gości z utęsknieniem oczekujących, które ponad staranie o wdzięki swoje, o elegancyę swej osoby, nic więcej do czynienia nie mają. Czasem pobrzękuje się na fortepianie, bez żadnego wyższego pojęcia sztuki, bez żadnego wyższego jej zamiłowania, czasem przerzuci się jakąś powieść, pomarzy trochę nad losem heroiny i nic nad to. A tu naokoło ludzie się znoją, praca pochyla barki, troska ryje bruzdy na czole; ojciec często upada pod tych trosk nawałem, matka jak może koło dobrobytu rodziny zabiega: one tymczasem używają smutnego przywileju trutni w ulu—przywileju próżnowania. A przecież i one kiedyś będą naczelniczkami rodzin, paniami, gospodyniami domów; i one żonami, matkami zostaną, i albo muszą nieumiejętnie, z trudem, z wysiłkiem wielkim brać się do pracy, walczyć z dawnem nawyknieniem nieużytecznego życia, z nadmiernem wydelikaceniem organizmu, albo wszystkie obowiązki tej pracy złożą w płatne ręce najemnic, i same na istnienie całe pozostaną nieużytecznemi, znudzonemi nicościami, lub gorzej nad to: zbytnicami, rujnującemi z zimną krwią dobrobyt rodziny, przyszłość dzieci swoich. Nie sądzę, abym się myliła twierdząc, że przyczyną postępowego upadku gospodarności kobiet naszych, przyczyną wzmagającego się zbytku i kosmopolityzmu w obyczajach, z których coraz-to więcej znika skromna prostota gustów i chęci, jest wychowanie wadliwie prowadzone, wychowanie, dla rzekomych celów nauki, trzymające dzieweczkę młodą przez lata długie w odosobnieniu od tych zajęć, które zamiłować powinna,—od tego życia, które ma być jej życiem w przyszłości. Gimnastyka staje się dlatego w wychowaniu potrzebną, że siły młode zamało się wyrabiają w pożytecznym ruchu żywego życia, i Zosia w *Panu Tadeuszu* jest nietylko jako sielanka wdzięcznym obrazkiem godnej pokochania dziewczynki naszej. Niech każda tak jak ta Zosia po godzinach nauki w sad, na folwark wesoło pobiegnie; niech się tam żywo roboty jakiej ima, komuś zmęczonemu pomoże, matkę lub starą sługę w czemś wyręczy, wśród pracujących, jak dobra towarzyszka stanie, a zdrowy rumieniec lica jej okrasi, moralnego i fizycznego zdrowia, moralnej i fizycznej czerstwości jej przy-

będzie. A czy zkądinąd coś ubyć może, czy może zetknąć się z czemś złem w domu uczciwym, którego panią jest jej matka? Co najwięcej usłyszy jakieś grubsze, prostsze wyrażenie, śmiech głośniejszy nad dyapazon salonowej skali, co w żadnym razie taką szkodą jej nie będzie, jak naprzykład, romans francuzki, który w godzinach rekreacyi czyta się niejednokrotnie poza plecami na śmierć zmęczonej, znudzonej, do apatycznej bezsilności całodniową pracą doprowadzonej guwernantki. A co zyskać! co—powtarzam—zyskać może! bo nietylko to nabytkiem tu będzie, że się istota młoda naturalnym ruchem ożywi, że się już w niej wyrabia przyszła gospodyni, że dziewczę starsze nabywa sposobem praktycznym wiadomości w tym zakresie: zetknięcie się z ludem wiejskim w tej chwili, można powiedzieć idealnej, bo w chwili, gdy się właściwie nie jest jeszcze panią niczyją, gdy się nie jest jeszcze niczyją chlebodawczynią, a serce, interesem materyalnym nie mrożone, bije dla każdego tkliwiej i dobrotliwość wrodzona jest większą — stosunek zawiązany o tej jutrzenkowej, wiosennej życia dobie, to rzecz wielkiego obywatelskiego znaczenia na życie całe. Jest w tem zasiew na poczciwie uczutą miłość najbliższego nam z bliźnich naszych, na miłość ubogich rzesz bratnich, jestto zarazem jakgdyby skąpanie się w ożywczem źródle swojskości, zachwycenie w pierś pierwiastku rodzimego i dziewczę tak w młodości prowadzone nigdy nie będzie Paryżanką na piaskach Mazurskich, czy Poleskich błotach, nie odetnie się jak ton fałszywy od całości otoczenia swojego—nie będzie bladą, bezbarwną lalką kosmopolityczną. Żywioł rodzimy silnie w pierś wszczepiony, wyłącza niemal zbytnicę, bo wyłącza wyrafinowanie elegancyi, na zagraniczną modłę bogatszych społeczeństw prowadzonej — wyłącza przez rozbudzenie uczuć szlachetnych życie bezczynne, liche, obowiązkiem nie zapełnione.

Niéma prawie takiego programatu wychowania dziewcząt, w którymby ręczne roboty kobiece jakiegośkolwiek miejsca nie miały. Czy zatem nie jest to rzeczą prostej konsekwencyi, aby je miała podobnie nauka gospodarstwa domowego, które jest stokroć ważniejszem dla przyszłego życia kobiety w rodzinie? Wprawdzie ręczne roboty, można do eleganckiego *nic* sprowadzić: usunąć z nich uszycie koszuli, zrobienie sukni, a zostawić dzierganie koronkowych pajęczyn i tym podobnych rzeczy, które, gdy nie są zajęciem wielkiej pani, lub robotnicy pracującej na sprzedaż, prawie nie mają wartości praktycznej. Gospodarstwo przecież, jeżeli nie ograniczy się do nalewania herbaty, wymaga już z konieczności realnego jakiegoś gruntu, rzeczy samej a nie fikcyi, i to zapewne powoduje ten brak niepojęty, jeżeli zastanowimy się nad nim ze stanowiska logicznego. Tego już nie można między czterema ścianami prowadzić, na barki guwernantki zwalić; więc nie istnieje to wcale, nie istnieje mimo wielkiej swej ważności, mimo tego, że dziewczę, nieprzyzwyczajone uważać gospodarstwa za swój obowiązek, krzywi się potem na nie, traktuje je jako rzecz niegodną tej, która lata całe była jakgdyby mieszkanką górnie zbudowanego Olimpu, gdzie wszystko, co stanowi potrzebę życia, zjawiało się w postaci gotowej już do używania. Dlatego-to dla źle pojętych celów nauki, dla możliwego wyzyskania przez dziecko całego czasu, w którym guwernantkę posiada, nauka gospodarstwa na boku zostawioną zostaje. Tam przecież, gdzie postępując nietylko według sprawiedliwości i sumienia, ale według rozumnie pojętego interesu dziecka, nie cały dzień guwernantkę z nim wiążą, tam w tych godzinach właśnie, które ona na własny swój użytek obraca, matka powinna córkę w tym kierunku zająć, co gdy dobrze i rozumnie będzie prowadzone, dziewczęciu najmilszą, najweselszą, najzdrowszą rekreacyą się stanie.

Najwłaściwszym do tego jest w lecie ten czas przedwieczorny, który po zamknięciu nauki szkolnej następuje, a w zimie kilka godzin wieczoru. Niech go tak dziecko, jak guwernantka używa w swobodnej od siebie niezależności: dziewczę niech we właściwe życie rodzinne, w jego ruch pracowity powraca; guwernantka niech się wolną czuje i według upodobania czasem swoim rozrządza. Za to uważałabym, że porankiem wpływ i nadzór guwernantki jest dzieciom koniecznie potrzebny, jeżeli nie ma w domu osoby, któraby ją w edukacyjnem tego słowa znaczeniu zastąpić mogła. Rano matka ze względu na swe inne obowiązki jest najwięcej zajętą, i najmniej troskliwej uwagi dzieciom dać może, a przecież jest to chwila właśnie, w której dzieweczka młoda uwagi tej potrzebuje, aby się wdrażała do porządku, systematyczności, aby obywała się o ile można bez pomocy sług, nie oddawała się zbytecznie strojnictwu, a przecież wdzięczny ład w ubranie swoje wprowadzić umiała. Nawet względy wychowania fizycznego łączą się tu, aby dziecko niedorosłe zaniedbanem o tych porannych chwilach nie zostało. Jeżeli zatem nie ma kogoś, ktoby tu rozumny nadzór mógł rozciągnąć, guwernantka, która nie jest tylko nauczycielką, ale i wychowawczynią, powinna się w pobliżu dziecka znajdować i straż nad niem trzymać. Kwestya pomieszczenia guwernantki występuje tu w następstwie. Że pragnie ona mieć jakieś, choćby maleńkie *u siebie*, kącik swój własny, gdzieby w chwilach wolnych zupełnie swobodną być mogła, jest chęcią naturalną i godziwą, zatem i żądanie pomieszczenia podobnego jest z jej strony słusznem. Ale na wsi, gdzie się pomieszkania nie wybiera, ale istniejące już z konieczności przyjmuje, trzeba pod tym względem ograniczać się nieraz bardzo i mieścić się jak można. Przecież pokój szkolny, w warunkach przeznaczeniu swemu odpowiednich, jest tak tu, jak w mieście taką koniecznością, taką dobrej nauki podstawą, że guwernantka znaleźć go już nieodwołalnie potrzebuje, choćby przez to świetność bawialnej komnaty ucierpieć miała. Za to może być często rzeczą już niepodobną, aby guwernantka, jeżeli zobowiązała się do wyżej wspomnianego nadzoru nad wychowankami swemi w chwilach porannych, mogła mieć obok sypialni dzieci pokój własny i wtedy sypialnię tę dzielić z niemi musi. W takim razie przecież jest to ze strony rodziców rzeczą obowiązkową, aby jej urządzono przepierzenie jakieś, choćby taki gabinet z parrawanów, o jakim Hofmanowa w pamiętnikach swoich z taką uciechą, z takiem uczuciem rozkoszy pisze. Ta uciecha, ta rozkosz pochodziła u niej z nabycia niezależności pewnej, nieodwołalnie potrzebnej każdej istocie dorosłej, a szczególniej osobie, która się umysłowej pracy oddaje; guwernantka też ma prawo żądać jakiej takiej uchrony, stanowiącej jakgdyby jej domek własny, ma prawo żądać jej i otrzymać ją, choćby rodzice sami ścieśnieć się dla tego musieli. To ich dzieci: szczęście i pociecha ich życia, niechże więc dla nich nie ktoś inny, ale oni ofiarę z dobrobytu swego ponoszą, pomyślawszy przytem, że inaczej ów ktoś, to jest guwernantka, nie przez czas jakiś, ale przez życie całe mogłaby być skazaną na ofiarność, bo dlaczegożby inni nie mieli czynić tego, co oni czynić sobie pozwalają? Aby osądzić należycie postępowanie nasze, trzeba, namyślając się nad niem, postawić sobie pytanie: coby było, gdyby wszyscy tak robili? Otóż guwernantka mogłaby być narażoną przez cały ciąg spełniania zawodu swego na wielkie ograniczenia, gdyby to dla rodziców nie stanowiło zasady, że tak im się nie godzi wezwać jej w dom, póki należyta wygoda, należyte pomieszczenie obmyślanem dla niej nie zostanie, jak nie godzi się nikomu brać na siebie zobowiązań, których uiścić nie ma możności.

Wszystko przecież, co w rozmaitych stosunkach między rodzicami a guwernantką może być często trudnem i z natury swej zawiłem, da się niemal zawsze załatwić, załagodzić, jeżeli tylko rodzina, wśród której się znajduje, wcieli ją w siebie serdecznie, przyjmie życzliwie już na zasadzie tego, naprzód powziętego przekonania, że pracy nauczycielskiej, pracy wychowawczej, nikt nigdy należycie opłacić nie może, jeżeli dobrze i sumiennie, jeżeli z przejęciem się prawdziwem wykonywaną będzie. Więc trzeba tu dołożyć coś cenniejszego jeszcze niżeli pieniądz: coś uczucia wdzięcznego, coś serca, oceniającego moralną wartość rzeczy, którą odbieramy, a wywiąże się z tego prędko, jak ciepło z płomienia, przychylność obustronna, przywiązanie już osobiste, a wtedy wszystkie trudności się usuną, niedobory się wyrównają, rodzina zyska jakgdyby jednego członka więcej, a istota samotna, bez dachu i domu, dom ten właśnie—ognisko uważane za własne, przy którem się ogrzeje. Nam stosunek taki łatwiej przychodzić powinien niż innym, bo u nas nie panuje taka odrębność klass, jak naprzykład w Niemczech; nie odgradzamy się tak sztywnie jedni od drugich jak w Anglii, i o nas to przecież w przeszłości naszej powiedział poeta: „I nie było sieroty w tak wielkim narodzie!“... Epoka dzisiejsza podnosząc tak wysoko na indywidualną korzyść jednostki prawa ludzkie, zdaje się jednak ujmować ogółowi dobrodziejstw z uczucia płynących, rodzina zacieśnia się do coraz szczuplejszego kółka niemal już jedynie rodziców i dzieci, a przecież skoro tylko jeden człowiek tak tuż obok drugiego człowieka stanie, że osobisty ich stosunek musi być ciągłym, niéma prawie innej drogi do harmonii, szczęścia—do zgodnego obok siebie bytowania, jeno przez serce, przez uczucie. Snadź ludzką to jest rzeczą, rzeczą na przeznaczenie człowieka daną, aby kochał i był kochanym, bo inaczej nikt nigdy nie zdoła wszystkich praw swych obwarować, nikt nigdy nie zdoła uniknąć, aby z powodu tak postawionych stosunków nie wynikało ustawicznie mnóstwo kwestyj spornych. Toteż osoby które już w obręb naszego domu o tyle wkraczają, że we wspólności ciągłej z rodziną żyć muszą, duch tej rodziny koniecznie przygarnąć sobie powinien pod karą ciągłego zamieszania, zaburzenia, jakie żywioł obcy wnosić tu będzie.

Taki stosunek guwernantki do domu, w którym ona przebywa, to kwestya jedynie dobrze zrozumianego interesu stron obu; ale społeczeństwo nasze nie wypłaciło się jeszcze nauczycielkom i wychowawczyniom dzieci swoich z długu, zaciąganego szczegółowo przez wszystkich rodziców i wszystkie dzieci: niéma u nas żadnego stowarzyszenia, któreby czuwało nad sędziwym wiekiem tych, które młodości naszej niosły pierwsze promienie światła, dawały nam pierwsze dobrodziejstwo nauki; niema u nas żadnego takiego zakładu, któryby w czasie pracowitego a niestałego zawodu nauczycielki był dla niej niby przystanią wśród burzy,—miejscem chwilowego odpoczynku, chwilowego schronienia, gdy chora lub niezajęta znaleźć je potrzebuje. A przecież zakłady takie istnieją wszędzie, i u nas istnieć powinien *dom guwernantek*, którego fundamenta wzniesione-by zostały przez ogół, groszem publicznym, złożonym dla *dobrze zasłużonych*.

M. Ilnicka.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Listopadzie.

Sejm galicyjski odbył przed kilku tygodniami swą sześciotygodniową sessyę. Od dwóch lat dopiero, t. j. od czasu ostatnich wyborów, które wydały dzisiejszą Izbę, kraj ma wszelkie prawo pokładać otuchę w jej pracach; poraz-to pierwszy bowiem od r. 1861, a więc od zaprowadzenia systematu konstytucyjnego w Austryi, skład Izby jest plemiennie jednolitym, wolnym od wstrętnych rozwojowi samorządu żywiołów i należycie zasobnym w siłę intelligencyi. W dawniejszych okresach sejmowych potrzeba było z liczby 151 posłów odsunąć zawsze na bok 40—50 jako straconych dla twórczej i pożytecznej pracy, bądź-to z braku najpierwotniejszych podstaw wykształcenia (włościanie zarówno zachodni jak wschodni), bądź-to dla nieprzyjaznych dobru krajowemu usposobień. Dziś te żywioły tamujące pracę publiczną,—bądź-to mimowiednie, bądź ze złą wolą,—ustąpiły z Izby; obecnie też z wyjątkiem drobnej frakcyi, liczącej 7 czy 8 głosów, dzieli się ona na stronnictwa jedynie tylko według odcieni zasad społecznych i politycznych, a nie według narodowości. W takim składzie rzeczy słusznem i usprawiedliwionem było przypuszczenie, że tegoroczna sessya sejmowa bogate przyniesie owoce krajowi, a to tembardziej, że mnoży się z każdym rokiem liczba spraw czekających na rozwiązanie, w miarę tego, jak z rozwojem instytucyi samorządu i postępem ducha publicznego, rozgałęziają się kierunki pracy i wytwarza coraz szerszy zakres potrzeb społecznych. Społeczność nabiera coraz więcej czerstwości, żywotności, popędów samodzielnych, a w równym stopniu

rozrasta się i sfera działalności ustawodawczej sejmu. — Na tegoroczną sessyę wydział krajowy przygotował sześćdziesiąt kilka projektów do praw, pomiędzy któremi znajdowały się ustawy obejmujące najszersze grupy interesów publicznych, jakoto: ustawa drogowa, budownicza dla miast i miasteczek, o przemyśle naftowym, o podniesieniu rolnictwa w kraju za pomocą postępowych melioracyj, o wydobyciu ludności włościańskiej z nędzy ekonomicznej przez zaciągnięcie krajowej pożyczki pięcio-milionowej do rozdziału pomiędzy zubożałą ludność, z warunkiem zwrotu we właściwym czasie; kilka projektów z częściową reformą ustawy gminnej i ustaw szkolnych; projekt częściowej reorganizacyi Izb handlowych przez zapewnienie liczniejszej reprezentacyi w nich stanowi przemysło wemu i t. p.

Niestety! wbrew uprawnionym oczekiwaniom, drobna tylko cząstka tych projektów doczekała się załatwienia; przeważna zaś ich większość uległa bądź przewłoce do przyszłych sessyj, bądź zasadniczo została uchyloną, bądź też z podniosłego charakteru szerokiej, odważnej myśli reformatorskiej odartą i w ciasne ramy połowicznej, przejściowej naprawy najbardziej rażących stosunków wtłoczoną. Zasadniczo nie rozstrzygnięto ani jednego pytania: jedne pozostawiono czasowi; inne wręcz odepchnięto; trzecim wreszcie pokazano na widnokręgu przyszłości nadzieję, że „po najdłuższem życiu“ doczekają się wzięcia ich pod uwagę Izby, przyczem nie dodano żadnej rękojmi, że to „zauważenie“ ich bytu przez Izbę wyjdzie im na korzyść.

Powszechną prawie niechęć w opinii publicznej wywołał upadek ustawy o urządzeniu dróg krajowych, powiatowych i gminnych. Obecna ustawa jest zewszechmiar wadliwą i rozkład ciężarów, jakie wymierza na ludność, z dróg użytkującą, jest tak niefortunnie obmyślanym, że podczas kiedy jedne okolice uginają się pod brzemieniem, inne znowu nie czują ich nawet, wogóle zaś stan włościański o wiele dotkliwszy dźwiga na swoich barkach ciężar dostaw i podatków drogowych, aniżeli właściciel większej posiadłości. Dzisiejszy stan rzeczy jest wypływem ducha kastowego, opiera się na sztucznym podziale gminy pomiędzy obszar dworski i włościański, i sprzeciwia się zasadzie równości obowiązków publicznych. Skutkiem zaś tej ułomności teraźniejszej ustawy drogowej jest zupełne zaniedbanie robót około dróg, a temsamem najgorszy stan kommunikacyj, tamujący w dotkliwy sposób swobodny rozwój rolnictwa i handlu. Ponieważ jednak stan obecny dogodnym jest dla posiadaczy większych własności ziemskich, a ci stanowią przeważną większość w sejmie, przeto wszelkie usiłowania stronnictwa postępowego i duchem słuszności przejętego, ażeby obowiązek drogowy sprawiedliwie rozłożyć na ludność, były dotąd bezskutecznemi. Intelligencya kraju patrzy co rok z żałobą w sercu na ten brak ducha publicznego u naszych ziemian, którzy nie umieją zaprzeć się własnego materyalnego interesu dla dobra zbiorowego. Dodać należy także, iż obecna ustawa daje władzy do rąk nader wątłe środki wywarcia nacisku na obowiązanych do uiszczania należności, zarówno w gotówce, jak w robocie ręcznej lub dostarczaniu materyału; projektowana zaś ustawa wprowadza sprężysty zarząd i dostarcza rękojmi, że musiałaby być wykonywaną. I oto jeszcze silniejszy szkopuł, o który cały trud Syzyfa około przeprowadzenia tej ustawy w Izbie na marne idzie.

W tym roku, poraz pierwszy od lat wielu, projekt reformy, po trudnej i zapalczywej walce stronnictwa postępowego ze wstecznem, a zwłaszcza po świetnej, z wysokim polotem ducha obywatelskiego i zrozumieniem społecznej potrzeby, wypowiedzianej, mowie sprawozdawcy generalnego, hr. Józefa Męcińskiego, zwyciężył w zasadzie, to znaczy: w rozbiorze ogólnym; ale gdy miano przystąpić do rozbioru szczegółowego, okazał się, niestety, brak czasu do podjęcia tak żmudnych i długich rozpraw, gdyż za dwa dni już nastąpić miało zamknięcie sejmu, a przeciwnicy projektu, niemogąc go uśmiercić inaczej, zapowiedzieli poprawki do wszystkich kilkudziesięciu paragrafów, tak, iż nie było dlań nadziei, ażeby mógł utorować sobie drogę przez owe wszystkie zasieki i sidła, które duch wstecznictwa, reprezentowany przez posłów: Grocholskiego i Erazma Wolańskiego, zastawił.

Pokrewne zupełnie były losy wniosku posła Hausnera, domagającego się pomnożenia reprezentacyi miast w Izbie sejmowej. Żywioł miejski jest już obecnie w Galicyi rdzennie narodowym, a z gorącą miłością kraju łączy wyobrażenia zdrowe i duchem umiarkowanego, tak z tradycyą ojczystych urządzeń jak i z wymagami cywilizacyi zgodnego, postępu przejęte. Radykalizmu społecznego, pokuszeń socyalistycznych nikt przez mikroskop tu nie dojrzy. Ogniska te światła i patryotyzmu są dotąd pokrzywdzone dotkliwie w swojem prawie obywatelskiem, gdyż statut nadany niegdyś przez centralistę Schmerlinga, zapewnia im zaledwo 20 krzeseł w Izbie. Tak-to wrogi naszemu rozwojowi społecznemu Niemiec obawiał się tego żywiołu rozumnej organizacyi pracy! Otóż od lat wielu pojawia się już w sejmie wniosek, przywracający zasadę słuszności, ale większość nie uważa za stosowne zasadzie tej złożyć hołd należny; corok przeto upadał wniosek. Dopóki w Izbie zasiadało kilkudziesięciu włościan i księży gr. kat. łatwo to było pojąć; ale odkąd składa się ona wyłącznie z posłów, posiadających intelligencyę i ożywionych uczuciami przyjaznemi dla pomyślnego rozwoju stosunków krajowych, odrzucenie wniosku posła Hausnera tak w przeszłym jak w obecnym roku, niepochlebnie świadczy o dojrzałości i roztropności Izby. W obecnym roku mniejszość wsteczna, złożona zaledwie z 15 posłów, niemogąc pogrzebać projektu, jęła się sposobu najmniej godziwego: wyszła z sali w czasie składania głosów. Dwukrotne użycie tego małodusznego wybiegu nie przynosi zaszczytu tym kilku posłom, którzy chronili się stale do bufetu przed głosem zdrowej i sprawiedliwej myśli.

Co się tyczy podniesienia ekonomicznego naszej prowincyi, pełne doniosłości są uchwały sejmu wzywające wydział krajowy do wypracowania projektów zakładu hypotecznego dla własności włościańskiej, tudzież banku kredytowego dla prowincyonalnych towarzystw zaliczkowych, spółek pożyczkowych i kass oszczędności, w celu zasilenia ich gotówką, któraby umożliwiła rozwinięcie na szerszą skalę ich pożytecznej zapobiegliwości około wydobycia zubożałej ludności wiejskiej z macoszych objęć nędzy. Postanowiono również, zanim projekta te szeroce zakreślone wejdą w życie i dobroczynną swoją działalność wytworzeniu nowych podstaw rozwoju ekonomicznego, poświęcą, zaciągnąć pożyczkę krajową 500,000 złr. i rozdzielić tę kwotę doraźnie pomiędzy najbardziej zubożałą ludność, której zagraża bezwzględna ruina w razie odwłoki. Jestto zastosowanie humanitarne zasady pomocy publicznej, która w naszych stosunkach nie zagraża przybraniem barw socyalistycznych.

Zpomiędzy reszty spraw załatwionych na tegorocznej sessyi sejmowej wypada mi jeszcze uwydatnić utworzenie krajowego biura melioracyjnego, którego celem ma być obmyślenie zasad spotęgowania produkcyjności rolnej i przemysłowej naszego kraju, jakoteż przedsiębranie takich robót publicznych, które podniosą ogólny poziom stosunków ekonomicznych. W tymsamym celu uchwalono także ustawę, wprowadzającą na właściwe tory exploatacyę nafty i wosku ziemnego, tych, tak niedawno odkrytych, a tak zasobnych i obiecujących, źródeł bogactwa górniczego naszej prowincyi. Dla podniesienia rolnictwa będzie również niemałą posiadało doniosłość objęcie w zarząd kraju szkoły rolniczej w Czernichowie, która była dotąd własnością Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego. Za objęciem jej w zarząd przez kraj nastąpi zupełna reorganizacya szkoły, podobnie jak to w roku obecnym stało się z takim samym zakładem agronomicznym w Dublanach, przejętym przez sejm przeszłoroczny na własność krajową. Reorganizacya tej ostatniej szkoły uzupełnioną została w ostatnich czasach przez powołanie na kierownika jej, znanego chlubnie w Polsce teoretyka wiedzy rolniczej, dra Juliusza Aua. Dla równorzędnego dania popędu przemysłowi ustanowiono wieczystą fundacyę stypendyalną, przeznaczoną na wysyłanie coroczne za granicę pewnej liczby młodzieży, posiadającej już podstawy wykształcenia zawodowego, w celu podniesienia go na wysokość współczesnej wiedzy przemysłowo-rękodzielniczej.

W tym pobieżnym przeglądzie streściłem cenniejsze prace i uchwały sejmowe, niedotykając tych, które nosiły charakter bądź-to polityczny bądź finansowy. Rozejrzyjmy się teraz po niwie życia umysłowego, które rozwinęło się już na dobre po kilkomiesięcznym zastoju letnim. Przedsłannikiem wrażeń artystycznych, jakich nam zima zbliżająca się ma dostarczyć, była, trwająca przez Wrzesień i Październik, wystawa obrazów, o której kilku celniejszych płótnach mówiłem już przed miesiącem. Dziś, patrząc wzrokiem wspomnienia na ogólny plon jej, nie mogę, choćbym chciał, powinszować Zarządowi Towarzystwa Sztuk Pięknych bogatego żniwa. Na miasto takich rozmiarów a temsamem i uprawnionych wymagań, jak Lwów, wystawy liczące po 200 do 250 numerów, są stanowczo za małe; posiadając Towarzystwo, którego zadaniem jest piecza nad sztuką, mamy prawo żądać odeń daleko wydatniejszego plonu pracy. Wystawy lwowskie nie dają właściwej miary do osądzenia współczesnego stanu sztuki rodzimej,—a przecież tak być-by powinno.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

„Walka kobiet“ — komedya w 3 aktach, przez E. Scribe, przełożona z francuzkiego, — przedstawiona pòraz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości d. 19 listopada r. b.

Stara nowina na afiszu — powie niejeden zapewne—stara tak, jak starym i całkowicie odrębnym, wydaje się Scribe wobec dzisiejszego kierunku komedyi. Przy każdej sztuce Scribego, tchnącej takiem pogodzeniem, taką pobłażliwością sądów o ludziach i świecie, taką lekkością przy rozróżnianiu czarniejszych charakterów od bielszych, takiem wreszcie prześlizgiwaniem się zręcznem ale pobieżnem, przez najtrudniejsze sytuacye, jakie ludziom wydarzają się na świecie,— przychodzi mimowoli na myśl, że musiały to być lepsze te czasy w których żył autor; że wtedy ani teraźniejszość, ani przyszłość, nie były powleczona ciężkiemi chmurami, zpoza których wychylają się burze najstraszliwsze i najrozmaitsze.

Autor mimowoli czy umyślnie, ale odbija zawsze usposobienie i prądy ducha spółczesnego,—niepodobna bowiem ażeby to, co przygniata wszystkich, jemu nie ciężyło wcale lub zgoła było mu obojętnem. Otóż w epoce największej płodności Scribego, wiele zagadnień socyalnych zaczęło się dopiero wylęgać bez niepokojenia poważnego ogółu, a zmienne przygody polityczne, przez swą zmienność właśnie i rzutkość, dodawały otuchy każdemu, który ze zmian wróżył postęp na lepsze.

Wreszcie wówczas—po 1830 r.—wierzono jeszcze w rozmaite zasady i tradycye, które ludziskom biednym dawały jakąś podstawę i otuchę do życia. Złą i dobrą dolę mierzono sprawiedliwą miarką, tusząc w razie najgorszej nawet, że jeszcze coś, co już nie jest z tej ziemi, wynagrodzi niedolę cierpiącym.

Ta wiara w lepsze, w wartość trudu ludzkiego i pracy ducha człowieczego, w jego niekończące się z nagłą śmiercią zasługi,—cechuje wszystkie niemal ówczesne utwory literatury pięknej z bardzo małym wyjątkiem, bo Musseta i pani Sand, a i tej jeszcze z zastrzeżeniem. Analizy nielitościwej, krającej na kawały i atomy, jak wogóle ciekawości chcącej wszystko odczytać z tego, co podpada pod oczy i tylko z tego—nieznano jeszcze,—nie stała się ona takiem absolutnem godłem, jak dzisiaj.

Dlatego utwory Scribego, który przecież umarł nie tak dawno, bo w r. 1861,—wydają się już dzisiaj jakby echem z innego, przebrzmiałego świata, i są też niem rzeczywiście, tak jak są metodą całkiem inną od dzisiejszej. Epoka przejściowa Scribego wydaje się nam też z tego względu tak bardzo odrębną, że daleko od niego bliższym i zrozumialszym dla dzisiejszej chwili jest stary Molière—Molière bowiem schodził do głębin duszy, a badając

człowieka wogóle, badał go na podstawie analizy psychologicznej, i z przyczyny tej ostatniej, pokrewnej dzisiejszej metodzie, odrzuciwszy tylko kostium ówczesny, staje się on i dziś jeszcze, świeżym i nowym. Scribe przeciwnie—suwa się tylko po powierzchni, daje zewnętrznego człowieka, daje *tylko jego kostium*, ukazuje go zawsze o tyle tylko, o ile potrzeba, ażeby zawiązał i rozwiązał akcyę, nietroszcząc się bynajmniej o uwydatnienie głębokości charakterów, ale o świetne zawikłania, o dowcip słów nie rzeczy, o kalejdoskopowe przesuwanie się różnorodnych, błyszczących obrazków.

Kto dzisiaj wierzy w jego prefektów, szukających w salonach i w walce z piękną markizą, karyery swej, która zależy na większej przebiegłości, na wywiedzeniu w pole najdowcipniejszej i najpiękniejszej niewiasty?—; w jego zakochanych, sypiących czczemi frazesami jak z rękawa—(prawda, że dzisiejsi kochankowie sceniczni, nie żałują także frazesów), a protegowanych zawsze conajmniej przez dwie kobiety, które, wydzierając sobie *objectum* naprzemian, pracują niezmordowanie dla jego szczęścia; w jego niewinniątka, których dzisiaj z dyogenesową latarnią szukać we Francyi; kto nareszcie wierzy w jego wszechpotężne rozumem, wpływem i dzielnością kobiety, wobec których, mężczyzna arcy-mizerną zawsze odgrywa rolę?

Bo, rzeczywiście, rozważyć dobrze komedye Scribego, a mężczyzna w nich zawsze stoi pod kuratelą i jeżeli co robi dobrze lub źle, to zawsze z natchnienia rządzącej wszechwładnie nim kobiety.

Lecz mniejsza o te szczegóły: chcieliśmy tylko zaznaczyć odmienność temperamentu i metody tego autora od dzisiejszej komedyi, co nie znaczy, iżbyśmy komedyę Scribego odsądzać mieli od wartości, a przedewszystkiem od jednego jej potężnego przymiotu, to jest: możliwości zabawienia, zwłaszcza zaś zaciekawienia widzów.

Czyż to jeszcze mało?

Umieć zainteresować tak, że widz od pierwszej sceny do ostatniej, chciwie szuka i czeka rozwiązania, i kiedy już pewny, że je wie, stacza się na niego całkiem inna niespodzianka, która właśnie dlatego, że jest bardzo zręcznie rozwikłaną niespodzianką, staje się też bardzo niezwykłym effektem!

Nie powiem tu nic nowego, gdy przypomnę tę szaloną zdolność Scribego do scenicznego układania sytuacyj, wikłania jej i rozwiązywania—dosyć sławy w tej mierze zapewniła mu „Szklanka wody“, — dosyć też jego sławy w tem, że go odtąd wszyscy komedyopisarze, polujący na sceniczną zręczność, mniej lub więcej wiernie kopiują—; ale chcę tu jeszcze zwrócić uwagę na to, że przy całej lekkości prowadzenia intrygi i jej rozsnuwania wychodzi ona zawsze jasno, konsekwentnie i jednolicie, nierozpraszając się na kilka innych odrywających się od głównej, jak się to dzieje u tylu innych, a zwłaszcza u dziedzica jego zręczności scenicznej, u W. Sardou.

Prawie po oratorsku poczyna sobie Scribe. Zaczyna od założenia, przechodzi do dowodów, szermuje niemi, dowodzi, i konkluduje, wracając do założenia. Niezmierna w tem bystrość i nadzwyczajne zrozumienie sceny.

Scribe też, jak i najwięksi twórcy komedyi i dramatu (Molière, Racine i inni) nie pogardzają monologiem, którym dzisiejsza nasza lokalna krytyka tak się brzydzi, tak gorliwie radząc skasować go na zawsze. Racyi wprawdzie zniesienia monologu taż krytyka nie podaje, bo też o wynalezienie jej dosyć trudno.

Monolog jest uzasadnioną potrzebą w dramacie i komedyi; wyrównywa on konieczność ciągłego skupiania się akcyi, przez możliwość szerszego szkicowania samych charakterów, lub uzupełniania cieniowaniem indywidualnem przerywanego toku samego przedmiotu. Odrzucenie go przez autora jest kaprysem dowolnym, niczem nie usprawiedliwionym, albo też lubowaniem się w czczych effektach bez głębszego ich usprawiedliwienia.

Scribe, co prawda, tych monologów długich nie obraca na psychologię, bo o tę nigdy mu tak bardzo nie chodzi, ale na doskonałe, choć zewnętrzne, szkicowanie tego właśnie, który monolog wypowiada.

Naprzykład „W walce kobiet“ monologi młodego de Grignona, na ten wyłącznie cel są przeznaczone. Są długie, a przecież nikt nie powie, że zbyteczne, nikt powiedzieć nie śmie tego przynajmniej Scribemu, jako mistrzowi w sceneryi dramatycznej.

Przedstawienie przeto komedyi Scribego po tylu latach pauzy, po tylu przeistoczeniach, jakkolwiek nie obudziło zapału ani nie wywołało tej nawet pobieżnej polemiki ustnej, która towarzyszy zawsze utworom cieszącym się prawdziwą oryginalnością pomysłów,—jednakże zabawiło mile, dając taką siestę miłą choć bezbarwną widzom, jaką bywa naprzykład siesta rozłożenia się wygodnego na murawie wśród skwarnego upału.

Po ochłodzeniu się chwilowem, znużeni powstają z murawy i idą dalej, zapomniawszy wnet, że odpoczywali: po wysłuchaniu komedyi Scribego wstaje się i idzie do zwykłych zatrudnień, zapomniawszy na śmierć, że się słuchało jakiejś komedyi.

Ale *chwila* przyjemna, istniała niezawodnie, nawet przy tej *Walce kobiet*, choć kilka innych, jak: *Camaradérie; Avant, Pendant et après; Une chaîne, Pierre et Raton*, bez porównania od niej są wyższe.

Scribe znany był jeszcze z tej właściwości i dla tego niezmiernie lubiony przez artystów a zwłaszcza artystki, że role pisał głównie i przeważnie, z myślą o nich, o ich rodzaju zdolności. W ten sposób zrodziła się *Adryanna Lecouvreur*, w ten sposób inne, w ten sposób prawie wszystkie.

W *Walce kobiet*, dwie role kobiece, jakie tam istnieją, wierzymy, że wywoływały różnemi czasy i w różnych teatrach, walkę aktorek, z tą tylko różnicą, że gdy w sztuce, kobiety te walczą z panem prefektem o spiskowego, tu walczyły aktorki o role.

I jedna bowiem i druga, effektowna, ponętna i zwracająca nieustanną uwagę widza. Przyznać wszakże trzeba, że wszystkie role w rzeczonej komedyi, są w danym zakresie ponętne.

I tak: młody Henryk de Flavigny, spiskowiec, a kochany przez obie naraz kobiety, przesuwający się lekko pośród prześladowań pana prefekta, z humorem nawet i z polotem romansowym, dając prawie odrazu wszystkim do zrozumienia, żeby się o niego nie bali, gdyż całe prześladowanie jest tylko komedyą. A potem sam prefekt, figura z czasów jeszcze Rewolucyi francuzkiej, potem Konsulatu i Cesarstwa, a wreszcie Ludwika XVIII, w poszukiwaniu tegoż spiskowca w zamku pięknej margrabiny, rozwijający niby spryt słynnego Foucheta.

Dalej margrabina, 35-letnia piękna jeszcze kobieta, która, ukrywając u siebie w przebraniu lokajskiem, pięknego spiskowca, walczy o jego ocalenie, bo się w nim kocha—i jej siostrzenica, kochająca szczerze i odrazu spiskowca nawet wtedy, gdy nie wie jeszcze, że on jest kim innym a nie lokajem — i młody Grignon, zuch mimo chęci, — słowem, wszystkie te figury mają dosyć do roboty na scenie ze swemi rolami i to roboty wdzięcznej. Autor, pisząc sztukę, zawsze miał aktorów przed oczyma.

Czy tak autorowie pisać powinni, czy tylko cel ten należy im mieć na oku? W pewnej mierze, niezawodnie, gdyż przeznaczeniem utworu dramatycznego jest, ażeby był grany, nie zaś czytany; atoli ta zbytnia troskliwość przy tworzeniu o aktora, zabija nieraz treść samą, bo licząc głównie na effekta wypróbowanej pewności, poświęca ścisłość rysunku, charakterystykę i prawdę.

Z tem wszystkiem akt II cały, a i III prawie cały, słucha się z rzetelnem zajęciem, wywołując mimowolny żal, że tyle zdolności w pewnym kierunku nie złączyło się z głębokością obserwacyi psychologicznej, z szerszem traktowaniem charakterów.

Tyle co do sztuki samej.

Gra artystów była wogóle dobrą. Panna Popiel jako niewinna prawdziwie i szczerze zakochana dziewczyna, znajdowała się w swoim żywiole, śmiesząc i rozrzewniając naprzemian widza. P. Tatarkiewicz jako spiskowiec, lekkością i dystynkcyą—a potem, humorem w scenach gapiowstwa z prefektem—odznaczył się jak zwykle. P. Szymanowski ów zuch po matce a tchórz po ojcu,—werwą komiczną, trzymaną w eleganckim tonie, bardzo zabawił. Niemniej pan Królikowski, który jako prefekt, odświeżył w sobie dawną tradycyę i dawne lata, kiedy Scribe przeważnie panował na scenie. Nie możemy tylko pojąć, że tak wytrawna artystka jak pani Niewiarowska, nie wahała się przyjąć roli, całkiem dla siebie niestosownej. Wszakże wybór według ustawy podobno, od samych artystów zależy. Wiele też skutkiem tego popisowych scen,—jak owa ze zwierciadłem i wogóle wszystkie monologi—przepadły niefortunnie.

Pochwalić jednak trzeba doskonałe ucharakteryzowanie się i trzymanie ówczesnych wzorów w kostiumowaniu, — słowem wszystkie te szczegóły, które pochlebnie orzekają o działalności reżyserskiej pana Tatarkiewicza.

E. Lubowski.

NOWINY PARYZKIE.

Wystawa powszechna.

IV.

Paryż 12 Listopada 1878 r.

(Dokończenie).

Widząc jak każda gałąź tego olbrzymiego *Drzewa Wiadomości*, puszcza coraz-to nowe odrostki, które tak samo staną się wkrótce gałęzią i pniem nowego drzewa; kiedy tak w historyi jak w geografii i w literaturze spostrzegamy, że każdy dzień przynosi jakąś nową kartę, nowe dzieło,—jak tu nie ma się człowiek pytać samego siebie: czy wkrótce całe, najdłuższe nawet, życie ludzkie wystarczy do poznania pierwszych zasad wiadomości i nauk, i do jakich-to wysiłków przywiedzie mózg nasz i głowę? Dziś już pamięć nasza—na jakież to prace widzi się skazaną! I czyż mimo jej potęgi można się dziwić, że przywoływane co chwila wspomnienia niezawsze stają do apelu? Aby zapełnić przerwy naukowego wykształcenia naszego, które tak rzadko, niestety, jest doskonałem i zupełnem; aby oszczędzić długich i mozolnych poszukiwań i uwolnić ogół śmiertelnych od koniecznego posiadania zbyt wielkiej biblioteki—ludzie praktyczni postawili sobie zapytanie: czyby nie można było streścić wszystkiego, cokolwiek zawiera w sobie i obejmuje pewna, dana nauka i oddać tego na użytek codzienny, równie pracowników uczonych jak ludzi światowych, w formie dykcyonarza? Rozwiązania tego zagadnienia podjął się również zakład Hachette'a, będzie temu już blizko pół wieku. W r. 1842 wydał sławny *Dykcyonarz historyi i geografii* Bouillet'a, który do dziś dnia jeszcze powodzenia zażywa, bo oglądaliśmy nowe jego wydanie na Wystawie Powszechnej.

A skoro raz już ten typ naukowy wynaleziony został, poszły w ślad za nim: *Dykcyonarz historyczny Francyi* p. Lalanne'a, *Dykcyonarz literatury, nauk i sztuk* tegoż Bouillet'a, *Starożytności chrześcijańskie* ks. Martigny'ego, *Życie praktyczne* p. Belèze'a, *Matematyka stosowana* p. Sonnet'a, *Nauki filozoficzne* p. Franck'a. Nakoniec ostatni wyszły z pod pras tegoż zakładu *Dykcyonarz chemii czystej i stosowanej* Wurtz'a, ozdobiony mnóstwem rycin, jest jasnym i pełnym wykładem wszystkich wiadomości chemicznych i najnowszych nabytków i odkryć tej nauki; a przy nim pierwsze zeszyty *Dykcyonarza botaniki* p. Baillon'a, który zamknie w sobie całkowitą historyę roślin, wskazując ich użytek medyczny i ogrodniczy; 10,000 rycin kolorowanych, wykonanych z największą doskonałością przez jednego z najbieglejszych artystów, dopełnia w tym względzie praktyczności dzieła i użyteczność jego czyni zrozumiałą i przystępną dla wszystkich.

Dalszy ciąg *Dykcyonarza starożytności greckich i rzymskich* sporym posuwa się krokiem. Mówiąc po księgarsku i po uczonemu, jest to przedsięwzięcie ciężkie i trudne. Kierujący niem pp. Daremberg i Saglio dotąd wychodzą obronną ręką. Wszystko, cokolwiek tylko się odnosi do życia prywatnego i publicznego starożytnych, zacząwszy od instytucyj i obyczajów aż do ubiorów i sprzętów, wszystko jest tu zebrane, roztrząśnięte, opisane według świadectwa autorów greckich i łacińskich, według prac nowożytnych uczonych i według najświeższych odkryć archeologicznych. Ten zbiór ciekawy wzbogacony jest jeszcze licznemi sztychami z antyków, jako prawdziwemi dowodami na

wsparcie wywodów i opisów podanych w texcie. Stanowi on zarazem i dzieło głębokiej erudycyi, jakoby przyczynek i dopełnienie naturalne nauk i studyów klassycznych i narzędzie pracy dla tych, którzy się zajmują starożytnościami. Jestto książka łatwa i zajmująca w czytaniu.

Ten ważny zbiór dykcyonarzy składał się na wystawie z przeszło dwudziestu tomów i stanowił prawdziwą bibliotekę słowników, której dopełniał jeszcze ogromny *Słownik języka francuzkiego* przez Littré'go, z dwoma skróceniami przez Beaujan'a. Dzieło to dostatecznie już ocenione zostało; ale dodajmy tu jeszcze, że jakkolwiek wielką była powaga uczonego filologa, samo jednak przedsięwzięcie wydania stanowiło ryzykowny dla wydawców interes. Otóż sądzić należy, iż zuchwale prawie to przedsiębierstwo i pełne ślepego zaufania wyszło im na dobre, skoro 54,000 odbitych dotąd egzemplarzy nie wyczerpało jeszcze powodzenia dzieła.

Ilekroć przedsięwzięcie tego rodzaju się uda, staje się ono jakby żyłą złota odkrytą w kopalni i sowicie opłaca niepokój i pracę. Ale obok tego rodzaju przedsiębierstw są jeszcze w wydawnictwie publikacye, stanowiące jakby nieustanną ofiarę, którą zakład zgadza się ponosić dla utrzymania honoru i tradycyi swej firmy. Publikacye te wymagają wielkiego nakładu, nietylko dlatego, że koszt ich druku jest znaczny, ale i dlatego jeszcze, że przez samą naturę wewnętrznej swej wartości zajmują one bardzo szczupłą liczbę znawców i wymyślnych codo wyboru książki czytelników, a w takim razie handel musi ustąpić miejsca sztuce. Do tego rodzaju przedsiębierstw należy kollekcya *Wielkich pisarzów francuzkich* (Malherbe, Racine, pani de Sévigné, Corneille i t. d.). Sławni ci pisarze, których dzieła tyle już razy były przedrukowywane, kommentowane, powiększane niewydanemi przedtem dokumentami, czyż znajdą w tem nowem wydaniu ostateczną swą formę? Jeżeli rozwaga wskazuje nam wstrzymać się z ostateczną decyzyą w tej mierze, możemy powiedzieć przecież, że zakład Hachette'a obszedł się z nimi wspaniale. Absolutna prawie wierność textu, ustalonego tą razą według oryginalnych rękopism lub według najlepszej edycyi poprawionej przez samego autora; waryanty, przypiski, spis rzeczy analityczny, studya biograficzne, historyczny rzut oka, biograficzne notatki, klucze językowe, czyli lexyka:—jednem słowem, wszystko, czegokolwiek można wymagać od porządnego wydania, wszystko to się znajduje w tej nowej edycyi.

Molière i La Fontaine są właśnie w trakcie publikacyi; ale ja rozpatrywałem szczególnie pierwszy tom nowego wydania *Pamiętników słynnego Saint-Simona*. Wydanie to, któremu wszystkie swe starania poświęcili dwaj uczeni wielkiego taktu i smaku, oddawiendawna przygotowani do podobnej pracy, dwaj szperacze nieznużeni a tak szczęśliwi w swoich poszukiwaniach literackich, pp. Chéruel i de Boislisle,—składać się będzie z 30 tomów! Codo formy i codo samej rzeczy będzie to wydanie doskonałem i wiernem,—o ile to być może, bez nużenia czytelnika i bez zaciemnienia textu,—powtórzeniem oryginalnych i jedynych rękopism samego autora, które są własnością zakładu Hachette'a. Któż z czytelników tych ciekawych pamiętników nie uczuł braku kommentarzy, tak niezbędnych już dzisiaj do tego dzieła? Otoż filologiczne, gramatyczne, historyczne, topograficzne objaśnienia zaspakają potylekroć powtarzane żądanie publiczności. Cały text przyczynków do Dziennika Dangeau'a, pierwotne materyały pamiętników, objaśnienia i listy Saint-Simona i rozprawy historyczne umieszczone zostały w dodatku. Jednocześnie wyjdzie z druku wydanie tych pamiętników in 4-o, wzbogacone dodatkiem od 12 do 15 rycin na każdy tom; będą one przedstawiać: autentyczne portrety, sceny obyczajowe, plany, ubiory i t. d. Będzie to prawdziwie wydanie zbytkowe (de luxe).

Mówiąc o książkach wytwornych, o dziełach zbytkowych, o wydaniach kosztownych, zatrzymajmy się na chwilę przed *Księgą Ruth* i przed *Historyą Józefa*, ozdobionemi rysunkami Bidy, jakoteż przed pierwszemi arkuszami *Opowiadań o Merowingach* Augusta Thierry'ego, illustrowanemi przez znakomitego malarza Jana Pawła Laurens'a, o którym na innem już wspomniałem miejscu. Ale co mnie uderzyło silniej jeszcze, to wspaniałe wydanie in-folio *Ewangelii*, ozdobione 128 sztychami *aqua forte*, podług oryginalnych rysunków Bidy, i wdzięcznemi ozdobami textu, wykonanemi przez znakomitego Karola Rossigneux.

Potrzeba było przeszło 12 lat czasu na ukończenie tego wydania: rozpoczęto je w roku jeszcze 1860, ostatnie zaś karty opuściły prassę w r. 1873. Ileż-to usiłowań, wytrwałości prób i wydatków potrzeba było zanim po dwunastu latach trudu przyszło ono do swej pełności! Nowe czcionki odlane zostały podług studyów i rysunków, które rozpatrywał i poprawiał jeden ze znakomitszych architektów paryzkich. Papier welinowy i papier hollenderski, atrament czarny i czerwony, były zamówione umyślnie w najlepszych fabrykach. Z tego jednego można wyobrazić sobie łatwo, jakie, często nieprzezwyciężone, trudności musiał spotykać druk takiego dzieła, w którym do typograficznej trudności odbicia w dwóch kolorach przyłączyło się jeszcze odbicie na stali rytych ornamentów.

Ale, jak też tu wszystko znajduje się urządzone w sposób, który zachwyca wzrok i serce każdego bibliofila, artysty i miłośnika pięknych i rzadkich rzeczy! Papier gruby, ale nie łamiący się przy zgięciu, równy i gładki, łagodnej białości dla wzroku; litery czyste, pełne, zaokrąglone; druk czarny, piękny, wszędzie jednostajny: oto zalety materyalnej części tego wydania. Cóż mogę wam powiedzieć teraz o części artystycznej? Wspaniała ona i piękna. Nagłówki rozdziałów, ozdoby liter, końcówki rozdziałów (*culs de lampe*) wykonane przez p. Rossigneux, przedstawiają umiejętnie pochwycone symbole, które idą w ślad za textem Ewangelii. Cóż-to za delikatność wykonania, coza bogactwo inwencyi i coza czystość smaku!

Co znów do kompozycyi p. Bidy, rytowanych na stali, pod dyrekcyą znanego pana Hédouin'a, przez takich sztycharzy, jak: pani Henryeta Browne, Leopold Flameng, Veyrassat, Nantueil i wielu innych—ryciny te podniosły jeszcze, jeśli to być może, sławę tego mistrza w rysunku. Jaki tu uczynić wybór zpśród tylu dzieł pełnych tak wysokiego i szczerego natchnienia? Są to prawdziwie owe olbrzymie obrazy Nowego Testamentu, takie, jakiemi były one w rzeczywistości, albo przynajmniej jakiemi je wymarzyła nasza wyobraźnia. Księga ta Ewangelii jest jednych z pomników, wznoszonych powolnie i stopniowo z dobranych troskliwie materyałów i ozdabianych przez mistrzów sztuki. Jestto dzieło biegłego architekty, a nie jakiegoś przedsiębiercy.

Jeżelim tak długo zatrzymał was przed temi szafami zakładu Hachette'a; jeżelim się rozpisał tak szeroko: uczyniłem to dlatego, żem był uderzony przedewszystkiem niezmierną rozmaitością okazów doskonałych i pięknych i dziwną rozmaitością coraz-to nowych celów wydawniczych, które ten zakład potrafił osiągnąć, wytrwale i pilnie ku nim postępując.

Przytem mimowolnie myśl moja zwróciła się wstecz ku owym trudnym i skromnym początkom człowieka, co wychodząc ze Szkoły Normalnej, położył pierwszy kamień tego zakładu. Ludwik Hachette, pierwszy tego nazwiska, otworzył w owe czasy księgarnię czysto-klassyczną, księgarnię szkolną, która przemieniła się wkrótce w zakład wiadomości pożytecznych i literatury powszechnej. Zakład, stawszy się bogatym i możnym, rzucił się śmiało na przedsięwzięcia wielkie, wymagające długiego czasu i wziął się do wydawania książek zbytkowych i wytwornych, ale w tej przemianie ci, którzy przychodzili do steru, pozostawali wiernymi piewszej myśli pierwszego założyciela, i księgarnia jest i dziś jeszcze tem, czem była na początku: księgarnią szkolno-naukową. Niema tu potrzeby wymieniać osób i nazwisk, bo w tych wielkich zakładach naszego czasu dzieje się jak w owych dziennikach, gdzie artykuły ukazują się bez podpisu, gdzie osobistości i znakomite talenta pozostają w cieniu, a, otaczając zatknięty raz sztandar, pracują na korzyść jedynie dziennika swojego. Jednostka może coś traci na tem, ale coza jednolitość i coza postęp wspólnego działania! Przytem zdawało mi się, że nie jest to bez pożytku dla nas wniknąć w drobne, najdrobniejsze szczegóły, z których się składa ta wspaniała całość *Powszechnej Oświaty*. W następnym liście powiem treściwiej o innych zakładach i o innych okazach tej części Wystawy Powszechnej Paryzkiej, której rozproszona dziś całość z trudnością da się ująć i najwytrwalszemu nawet szperaczowi.

γ.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

— *Prenumeratorce K. Z.*—Spółka pracy kobiet przyjmuje uczennice tylko na przychodnie. W skład wykładanych przedmiotów wchodzą: introligatorstwo i retuszerya; do nauki retuszeryi znajomość rysunku nie jest wymagana: ale osoby znające rysunek, daleko prędzej i dokładniej wyuczają się retuszeryi, nieznająca zaś rysunku, nigdy dobrą retuszerką nie będzie. (Retuszerya jeszcze nie jest wykładaną, z powodu niezebrania się kompletu). Opłata miesięczna rs. 5. Kurs introligatorstwa sześciomiesięczny; kursu retuszeryi jeszcze nieoznaczono.

— *Autorom i tłómaczom utworów poetycznych, nadesłanych do „Bluszczu"*—Utwory: *Z Heine'go* (Heimkehr); *Czy masz co milszego?....; „I wśród głuchych burz, gdy zwątpienia nóż"*, podpis „Gedymin z Gniezna"; *Macocha do pasierbicy przed ślubem*, podpis „J. T."; *Błogosławieństwo; Sonet*, podpis „Jastrzębiec"; *Anioł i dziecię*, podług Reboula; *Na morzu*, podpis „M... S..."; utwory szesnastoletniej panienki: *Modlitwa, Dlaczego? Szczęśliwa chwila*, podpis „Władysława"; *Sen, Marzenie*, „podpis „Janusz Bończa"; *Głos z ziemi do nieba*, podpis „M. r. n. a znad Taśminy"; *Do przyjaźni*, podpis „Stefania Ł."; *Piosnki moje, Modlitwa, Kieruj mną Boże, Zgon, Łza nieprzelana, Zgon żołnierza i miłosierdzie* podpis „Romualda"—

w *Bluszczu* drukowanemi być nie mogą.

Sprostowanie.

W Nr 41 *Bluszczu* podany został adres *Zakładu przemysłowego rękodzielniczego dla kobiet*, przy ulicy Smolnej Nr 6; powinno być: przy ulicy *Szkolnej* Nr. 6.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu" dołącza się arkusz 15-ty powieści pod tytułem: Kłamcy.

TREŚĆ. Zima, (poezya), przez Stefanię. — Światełka w ciemnym kraju, (nowella), przez Sygurda Wiśniowskiego. — Nauka i wychowanie dziewcząt, II, (dokończenie), przez Maryę Ilnicką. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Nowiny paryzkie, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Ноября 1878 года.